

Prawo jazdy

2 października 2008

Jak to się kiedyś chodziło na kurs jazdy motocyklem, samochodem i jak się zdawało?

Cofnę się o pięćdziesiąt kilka lat, wtedy to w 1956 roku miałem przyjemność zaliczyć taki kurs na motocykl i zdać egzamin na prawo jazdy za pierwszym razem. Napisałem przyjemność?

Oczywiście, bo to była przyjemność, kurs był całkiem w porządku, egzamin również, nikt złośliwie nie oblewał i nie oczekiwał na łapówkę.

Na kursie kładli w głowy przyszłych kierowców przepisy ruchu drogowego, tajniki mechaniki tych piekielnych pojazdów i jak dokonać drobnej naprawy.

Ten kurs na którym byłem, był przeprowadzany na terenie PGR Łojdy, kilka kilometrów od Bartoszczyk.

Piszę o miejscu dlatego, że nauka jazdy też tam się odbywała. W PGR raczej autostrad i zawiłych skrzyżowań ze światłami nie było, była ze to łączka z wielkimi kretowiskami.

Tam to właśnie odbywała się nauka jazdy na motocyklu Jawa 250. Uczyliśmy się wywijać ósemki,

co w labiryncie kretowisk nie było dla nowicjuszy wcale takie łatwe.

Egzamin był z przepisów, mechaniki i jazdy, która odbyła się na kawałku piaszczystej drogi i tym nieszczęsnym kretowisku. Zdałem, jak i znakomita większość kursantów, odpad był raczej z winy braku wiedzy ze spraw mechanicznych.

Po tym egzaminie zafundowałem sobie motocykl NSU 300 OT, którym to pojazdem zacząłem się wybierać do oddalonych o 6 km

Bartoszyce.

Kolega usiadł na tylnym siodełku, ja ruszyłem z fantazją no i jadę. Całą drogę do Bartoszyce coś koledze opowiadałem, wreszcie przyszedł czas na odpowiedź, a tu nic! Odwracam się kumpla niema! Został biedaczysko w miejscu gdzie usiadł na motocykl, to była taka moja wpadka, nowe prawo jazdy, nowy (stary) motocykl, okazało się, że ruszać z pasażerem należy spokojniej!

Mimo tak prostego egzaminu żyję do dzisiaj, jeździłem motocyklem do Olsztyna, Sopotu, Warszawy. Że ruch nie taki? Ale ile drzew przy szosach! Szosy bardzo wąskie, obok asfaltu miejsce dla furmanek, czyli goła ziemia z wielkimi dziurami. Nigdy się nie połamiałem, jeżdżę do dzisiaj.

Teraz samochód. Te prawo jazdy zdobyłem w Biskupcu, kilka lat później.

Nie chodziłem na kurs, można było zdawać bez kursu. Jeździć uczyłem się Żukiem, a uczył mnie kierowca firmowy. Nauka była bardzo prosta, jak wiozł mnie i materiały na budowę, to ja prowadziłem samochód pod jego czujnym okiem.

Nauczycielem był doskonałym, zdałem bez problemu i to po zaledwie kilku jazdach po szosie i w mieście.

Egzamin odbywał się na szosie poza miastem, oczywiście wpierw kodeks drogowy potem mechanika.

Zdawałem na Żuku, na którym się uczyłem jeździć, a wyglądało to tak:

Do samochodu wsiadł obok mnie egzaminator i polecił pojechać prosto szosą, po jakichś trzech kilometrach powiedział, że mam zawrócić. Zobaczyłem dróżkę skręcającą z szosy do lasu, w dół,

przyhamowałem i skręcając tyłem zacząłem cofać do lasu. Przed tym manewrem zobaczyłem czy się zmieszczę, egzaminator nie zauważył tego, wpadł w panikę i zaczął krzyczeć żebym stanął

bo rozbiję samochód, tego polecenia nie wykonałem i spokojnie dokończyłem manewr, wyjechałem na szosę i skierowałem się do punktu egzaminacyjnego. Egzaminator był a szoku, nie odzywał się.

Dojeżdżając nie wiedziałem czy mam stanąć czy jechać dalej, więc spytałem, stanąć?

Przez jakiś czas milczał potem stwierdził stanąć, spytałem gdzie dokładnie, stwierdził przy schodach. A my byliśmy od tych schodów jakieś 5 metrów!

Owszem zatrzymałem się dokładnie przy schodach, a egzaminator na przedniej szybie Żuka!

Wypadł z samochodu wściekły i pobiegł do budynku. Byłem pewny, że będę musiał jeszcze raz zdawać, jakież było moje zdumienie gdy usłyszałem, że egzamin mam zaliczony.

Już to widzę teraz! Taki bubek by się mścił przez 100 egzaminów.

Jak wspomniałem jeżdżę do dzisiaj, jestem cały, nikogo nie uszkodziłem.

Jak jest dzisiaj? Opiszę to na przykładzie syna i córki.

Syn jeździł motocyklem od niemal pieluszki, jak dorósł udał się na egzamin i oblał z jazdy.

Zrobił zbyt ciasną ósemkę!

Po prostu egzaminatorowi nie mieściło się w głowie, że może ktoś zdać bez łapówki.

Córka zaliczała samochód, nie mogła zdać z jazdy, cztery razy i nic! Wreszcie połapała się w czym rzecz, miłusiński egzaminator jak ruszała spod świateł wciskał hamulec, córce gasł silnik.

Zwróciła mu na to uwagę, jedynie się roześmiał.

Zmieniła miejsce zdawania egzaminu z Olsztyna na Ostrołękę, zdała bez problemu.

Kursy są długie, mechaniki brak, jazdy wiele godzin, a prawie nikt nie zdaje.

Miałem dużo znajomych Warmiaków którzy wyjechali na stałe do Niemiec, w Polsce nie mogli zdać, tam zdali.

Wróć do córki, wyjechała na stałe do Japonii, musiała zrobić tam prawo jazdy, początkowo bardzo słabo знаła język, ruch lewostronny, a zdała za pierwszym podejściem.

Więc co jest nie tak z naszymi kursami i egzaminami? Czy to jedynie sprawa łapówek, a może jesteśmy dla siebie tak wredni? Może zły program nauczania?

Autor: wiki3

Źródło: [Niepoprawni](#)